



MARCIN
KOWALCZYK

BILET W TAMTĄ STRONĘ

MISTERIUM GROZY

BILET W TAMTĄ STRONĘ

MARCIN KOWALCZYK

BILET W TAMTĄ STRONĘ



WYDAWNICTWO
IX

Kraków 2020

Tytuł: *Bilet w tamtą stronę*

Copyright

© 2020 by Marcin Kowalczyk

Copyright for the cover art

© Krzysztof Biliński

All rights reserved.

Reprodukcja biletu służbowego, klasy I na okres przedwojenny, nr inw. Arch. 31/3 (dawniej Arch 2656/1) została udostępniona za zgodą Stacji Muzeum w Warszawie, z której zbiorów pochodzi.

Pomysłodawca zbioru: Piotr Goszczycki

Redakcja: Ksenia Olkusz

Korekta: Krzysztof Biliński

Projekt, skład, łamanie i przygotowanie do druku: Krzysztof Biliński

Ilustracja na okładce: Krzysztof Biliński

Grafika użyta w książce: Smashicons from <https://flaticon.com/>

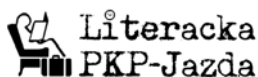
Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana bez zgody wydawcy, za wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na potrzeby recenzji oraz artykułów.

Wydanie książki zostało zrealizowane przy współpracy:

Literacka PKP-Jazda

w ramach serii „Szlak Literackiej PKP-Jazdy”. Pociąg nr 22.



Wydawnictwo IX

biuro@wydawnictwoix.pl

wydawnictwoix.pl

Kraków 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-957400-2-2 (oprawa miękka)

ISBN 978-83-957400-3-9 (oprawa twarda)

Spis treści

Kot

9

Telegraf

17

Kościej

25

Jelop

31

Wagon

43

Wagon 2

55

Wagon 3

69

Wagon 4

Śmierdząca sprawa

81

Wagon 10

Niedzielna wycieczka

95

Wagon 13

117

Błędny sygnał

137

Krobia

147

Średnica

161

Potwór

175

Operacja Kalota

191

Częstotliwość

209

Nastawnia

Przebudzenie

219

Nastawnia II

Pies Kołaczyka

233

Nastawnia III

Chińska lupa za 5 zł.

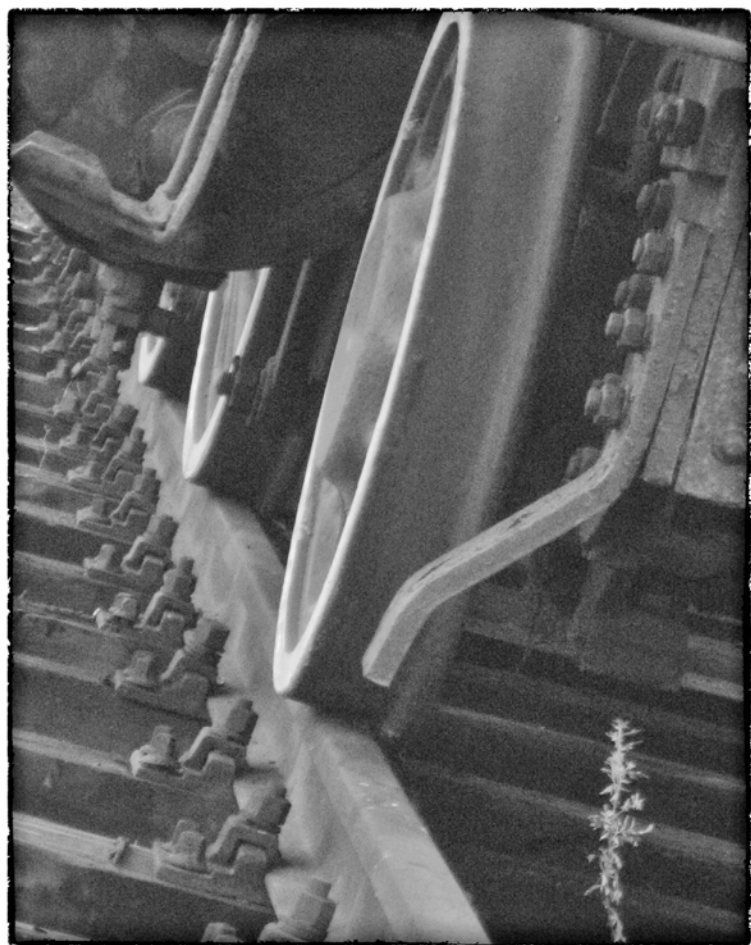
251

Bilet

263

*Od pewnego czasu pojawił się na liniach kolei
państwowych jakiś pociąg nieobjęty powszechnie
znanym rejestrem, niewciągnięty w poczet kursujących
parowozów, słowem, intruz bez patentu i aprobaty.*

Stefan Grabiński





Wagon

Mam na imię Marcin, lecz przyjaciele mówią mi Co-valus. Tak również zwracał się do mnie Jurek, którego pamiętnik mam przed sobą. Czytam go po raz kolejny i nie mogę uwierzyć w to, co się stało...

Zapiski Jurka

Wszyscy właśnie wracali do domów po ciężkim dniu pracy. Zmęczeni i skuleni mijali mnie obojętnie, starając się przegonić zapadający mrok. Czekały na nich ciepłe posiłki, wygodne łóżka i zniecierpliwione żony lub mężowie. Mnie to nie dotyczyło. Samotny kawaler takich problemów nie ma. Dopiero co wstałem z łóżka. Mijając kosmiczny bałagan, ostrożnie, by nie wdepnąć w resztki wczorajszej kolacji, kierowałem się ku łazience. Tam zimna woda spędziła resztki snu z twarzy. Zjadłem czerstwy chleb i, aby zabić pustkę w brzuchu, napiłem się herbaty.

Wyszedłem do pracy. Ostatni autobus wypłuł moje ciało tuż pod stacją. Oddałem mocz w krzakach pod

plotem. Nie jest dobrze zaspokajać głód herbatą. Wdra-
pałem się na nasyp ścieżką przeznaczoną tylko dla ko-
lejowych VIP-ów. Stacja była pusta o tej porze. Wiatr
hulał pomiędzy szynami, szarpiąc złośliwie trakcję.
Przeskakując srebrne nitki, dotarłem do Niuni, drze-
miącej na bocznym torze postojowym. Tarcza manew-
rowa grzała ją niebieskim światłem. Moja piękna zielo-
na SM42. Zastępowała mi żonę, kochankę i wszystkie
kobiety świata. Wdarłem się do kabiny i przebudziłem
ją delikatnie rozrusznikiem. Silnik zadygotał. Z począt-
ku nieśmiało, potem głośno i donośnie. Lekko pocią-
gnąłem nastawnik. Rasowy bulgot rozdarł ciszę muzy-
ką niebios. Niunia grzała równo, twardo i bez stuków.
Cudownie śpiewała moja mała. Zostawiwszy silnik na
wolnych obrotach, postanowiłem zajrzeć pod maskę.
Byłem ciekaw, jak trzyma spoina *made by* maszynista
Jurek, wykonana na polecenie naczelnika Kaloty na
przewodzie olejowym, który wczoraj zaczął ciec. Prze-
wód, nie naczelnik, ma się rozumieć. Zgłosiłem ten fakt
Kalocie, lecz ten w swój specyficzny sposób wybił mi
naprawę z głowy.

— Juruś — zaczął wykład — co mi tu z takim gów-
nem wyjeżdżasz?

Milczałem. Z naczelnikiem się nie dyskutuje.

— Juruś kochany, że cieknie, co ja ci poradzę? Mo-
jej żonie też cieknie raz na miesiąc i żyje. Myślisz, że
w ZNTK-u nie mają nic do roboty?

— Może i nie. Przynajmniej nasz naczelnik im się
nie naprzykrza.

— Juruś zrób z tym przewodem porządek, roboty
mamy mnóstwo, a ja nie mam drugiej manewrówki,
zrozumiałeś?

Przytaknąłem.

— No to przestań pieprzyć i do roboty.

Taki był Kalota. Prosty dosadny i dobry człowiek. Zjechał drugiego jak psa, gdy ten kury pogonił, ale i bronić potrafił. Jego ludzie byli jak Najświętsza Pannienka — czysti i niedotykalni.

Pamiętam, jak raz Stefan, mój pomocnik i zwrotniczy zarazem, źle zwrotek ustawił. Pchnąłem brutto, a ono w bok i zarysowało stojący na platformie kontener LOT-owski. Dwa wgniecenia i paskudne rysy były widoczne z daleka. Przeraziliśmy się. Dobrze, że była głęboka noc i poza nami nikt zdarzenia nie zobaczył. Ostro do tyłu i zmyliśmy się po cichu. Rano patrzę, a tu radiowóz pod dyżurką. Jesteśmy ugotowani, myślę. Podkradłem się pod okno i słucham. A tam Kalota jedzie po dwóch mundurowych i pracowniku LOT-u.

— Co mi tu z kolizją wyjeżdżacie? Moja żona jak źle ugotuje, to też ma kolizję i żyje z porysowaną facjatą. Moi ludzie tego nie zrobili, jasne?! A wiecie wypierdki, dlaczego?

Że go nie zamknęli wtedy, to cud.

— Bo dwadzieścia lat tą trasą jeżdżą i nigdy nic się nie stało. Jasne? To moi ludzie, a oni nie miewają kolizji!

Gdyby tylko wiedział, jak się myli. Skubany wiedział. Gdy ukryłem się w lokomotywie, już z daleka go słyszałem.

—Juruś! — darł się na pół stacji.

Miałem nadzieję, że mundurowi byli daleko. Ale mimo to miałem pewność, że Kalotę słyszy pół miasta. Miny Kaloty nie da się opisać. Miała coś z wściekłego psa i szarżującego nosorożca.

— Juruś!

Wypełzłem ostrożnie z kabiny.

— Tak, naczelniku — spytałem grzecznie.

— Ty mi tu z „naczelniku” nie wyjeżdżaj! Moja żona, jak nabroi, to też z takimi słoweczkami wyjeżdża i czasami w facjatę tak wyłapie, że aż furczy. Co mi tam w nocy koło Cargo 2 było?

Biedna ta jego żona. Ale teraz walczyłem o własną skórę i nie obchodził mnie los maltretowanej kobiety.

— Mały wypadek — szepnąłem skruszony.

— Juruś, mały wypadek to ja z żoną miałem trzydzieści lat temu, w stogu siana, dwójka dzieci z tego była, a wyście kurwa cały wagon porysowali!

Milczałem.

— Jak nasze wagony?

— Całe, ani rysy.

— Juruś, złoto i tak trzymać, gdybyś nasze porysował, to bym nogi z dupy powyrywał, ale żeby mi to było ostatni raz, jasne?

Poszedł i ukreślił całej sprawie łeb. Kochany Kalota. Usterkę przewodu sam naprawiłem. Zakleiliśmy paxipolem i owinałem taśmą samoizolującą. Dotknąłem spiny palcem. Sucho, ani kropli oleju. I tak miało pozostać do końca służby. Prowadziliśmy nocny ekspres. Tak nas nazywali w zaspanych nastawniach. Zbieraliśmy wagony z zakładowych bocznici i odstawialiśmy na główną stację. A wszystko głęboką nocą, kiedy ruchu nie było. Pochylony nad pracującym silnikiem, nie zauważyłem Kaloty, ale go usłyszałem.

— Juruś!

Ten dźwięk poznałbym w piekle. Odwróciłem się. Szedł ze Stefanem, moim zwrotniczym. W prawej ręce trzymał plik rozkazów.

Teraz nadeszła pora na pouczenie Kaloty. Specyficzna rada, której nie można zapomnieć do końca

życia. Coś z całej plejady rad Kaloty typu: „Robota nie chuj, stać może”.

— No widzisz, Juruś, a ty do ZNTK-u chciałeś loka mi zabierać...

To się nazywa wprowadzenie do sedna wykładu.

— Juruś lokomotywy są jak kobiety, jeśli dobrze dziurę zapchasz, to nie protestują i robią za trzech, twoja Niunia też.

Cały Kalota. Ciekaw byłem tylko, jak to naprawdę w tym domu Kalotów jest. Raz widziałem małżonkę naczelnika. Potężna baba, z ręką jak bochen chleba. Coś mi się nie chciało wierzyć w tę jego dominującą rolę.

— Juruś, masz tu papiery, ja spadam wypać się i do zobaczenia rano.

Odszedł, nie czekając na odpowiedź. Stefan zajął swoje miejsce z boku pulpitu. Ubrany w pomarańczową kamizelkę, oświetlał wnętrze Niuni.

— Co tam dziś mamy?— zapytał, wskazując na papiery.

— Stara trasa, najpierw walimy na terminal wschodni.

Tarcza manewrowa zmieniła sygnał z niebieskiego na biały. Dałem jeden krótki gwizd i ruszyliśmy. Z piśkiem wytoczyliśmy się na tor główny. Lekko przyśpieszyłem. Niunia wibrowała łagodnie. Noc to magiczna pora. Pusty szlak i przyćmione światła tańczą zawieszane w nicości. Wszystko jest takie inne i nierealne. Zbliżaliśmy się do pierwszego zjazdu. Pora budzić nastawnię. Sięgnąłem po radiotelefon.

— Tu nocny ekspres, meldujemy się na głowicy, dajcie wjazd na terminal.

Widoczna z daleka czerwona kropka zmieniła kolor na biały. Zwrotnica skierowała nas na odchodzący ostro w prawo boczny tor. Obok sterczała podniesiona

wykolejnica. Zwolniłem. Niunia strasznie skrzypiała na łuku, był dla niej nieco ciasny. Zatrzymałem się przed bramą terminalu. Stalowa zapora przegradzała nam drogę. Długi Rp1 wybudził portiera. Stalowa brama uchyliła się. Wjechałem do środka i zatrzymałem znowu przed główną zwrotnicą. Stefan, z papierami w ręku, poszedł szukać naszego wagonu. Gdy go odnalazł, przestawił zwrotnicę i stanął pomiędzy jego zderzakami. Ruszyłem powoli. Stefan jak dyrygent regulował moją prędkość dłońmi. Dłoń w dół, zwolnij. Dłoń do siebie, jeszcze trochę do przodu. Musnąwszy zderzaki czteroosiowej platformy z czerwonym kontenerem, zamarłem. Stefan podłączył sprzęg i wrócił do Niuni.

— Jedziemy — rzucił krótko.

SM42 lekko wyszarpnęła śpiącą platformę i zaczęła się cofać. Za nami portier zamknął bramę i pewnie poszedł spać. Przed wjazdem na tor główny nadeszła pora na pogawędkę z nastawnią.

— Musimy wagon wziąć na hak od krótkiej strony, zepchniemy go na drugi i oblecimy po głównym, dacie zezwolenie?

— Macie wolną rękę, szlak pusty — odpowiedział senny głos z nastawni.

Uczyniliśmy, co było planowane i wagon znalazł się na swoim miejscu. Rutyna nocną porą. Wypuszczono nas ze stacji i popełzliśmy do rozdzielni paliw po dwie cysterny. Po drodze mijaliśmy martwe miasto, skąpane w świetle latarni. Stefan, znudzony, zaczął spożywać posiłek. Poczęstował mnie kanapką, na którą rzuciłem się łapczywie. Potem piliśmy kawę a'la SM42. To znaczy na raty. Trudno jest w mojej Niuni utrzymać pełen płynu kubek w dłoni. Dlatego leje się po trochu na

dno i obraca usta-termos ze trzy razy. Kolorofon przed rozdzielnią paliw pokazywał S1. Wyhamowałem pod słupem i skorzystałem z okazji, by wysepić od Stefana jeszcze trochę kawy. Miał jej chyba niewiele, gdyż sięgnął po radiotelefon i wyznał swoje żale.

— Tu nocny ekspres, CPN, co u was? Długo mamy tu zimować? Jurek wypija całą moją kawę!

To poskutkowało. W obawie o zdrowie Stefana, ktoś zadziałał. Najpierw usłyszałem:

— Jurek, przestań natychmiast! — I po chwili: — Przepraszam nocny, na drugi raz dajcie długi sygnał.

Bezosobowy głos ustawił dla nas drogę przebiegu. Na bocznicy rozdzielni jechaliśmy wagonem do przodu. Stefan stał na schodkach platformy z radiotelefonem i mamrotał swoją pieśń:

— Powoli, na wagon, powoli pół wagonu, wolno. Stój! Nie śpij tam, do cholery, Juruś!

Potem sprawdzał numery i plątał sprzęgi. Wyjechaliśmy z trzema wagonami na haku. Sprawdziłem rozkazy. Został nam tylko DOLMEL. Ciężka sprawa. Mieli strasznie ciasną bocznicy. Nie mogliśmy tam wjeżdżać z wagonami. Zawsze zostawialiśmy je na stacji, przy wartowni SOK-u. Tam był mały, bezpieczny tor. Strażnicy, słysząc nas z daleka, ustawili zwrotkę. Podepchnąłem wagony pod sam kozioł oporowy. Zahamowałem i Stefan odhaczył sprzęg.

— Będziemy za trzydzieści minut — krzyknąłem.

— Dobra, przypilnujemy — machnęli ręką.

Cofałem Niunią aż do wjazdu na DOLMEL. Ogromnie przygnębiająca to okolica. Bocznicy otaczały dwa upadłe zakłady. Rozkradzione przez złomiarzy hale straszyły powybijanymi oknami. Wiatr zrzucał resztki szkła na spękany beton. Jakies zionące alkoholo-

lem cienie umykały przed naszym światłem. Niunia wjechała na DOLMEL-owski tor. Zaczęło się safari. Włączyłem długie światła dla polepszenia widoczności. Tor był stary, nieremontowany i nierówny. Wyssokie krzaki smagały boki naszej lokomotywy. Niekiedy, uwolnione spod kurateli podkładów, szyny zagłębiały się w grunt. Niunia chybotwała się na boki jak statek podczas huraganu.

— Kiedyś tu utkniemy, Stefan — wyjąkałem.

— Albo się wywrócimy, Juruś.

Czasem wpadaliśmy na stare zwrotnice. Ich tory ginęły w ciemnościach wśród szkieletu budynków. Modliłem się, aby iglice wytrzymały i nie rozsypały się pod ciężarem Niuni.

— Juruś, co to za wagon na bocznym?

Stefan wskazywał na pudło, które wyłoniło się w świetle lamp na zapasówce DOLMEL-u. Jakies dziwne było. Sześćoosiowa platforma nieznanego typu, przykryta białą budą. Najdziwniejsze było to, iż tylko my obsługiwaliśmy tę bocznice i czegoś takiego tu nie pchaliśmy. Buda nie miała żadnych oznaczeń.

— Nietypowy, może DOLMEL sobie coś na boku zamówił? — mruknąłem.

— E, chyba nie, patrz na jego osie.

Rzeczywiście, ten wagon nie mógł być ostatnimi czasy w drodze. Płaty rdzy i spalonego smaru przykrywały koła. Obręcze były nią przeżarte.

— Chyba zapieczone ma panewki — stwierdził Stefan.

Niunia zaczęła skręcać do DOLMEL-u i straciliśmy go z oczu. Portier wpuścił nas do środka. Znaleźliśmy nasz wagon z lodówkami i zaczepiliśmy na hak. Stefan zagadnął jeszcze o ten widziany przez nas wcześniej.

— Nie wiem, wczoraj czyścili rejon po Budimeksie, żeby tam supermarket stawiać, oczyścili teren z krzaków. A co to jest?

— Czyli nie wasz? — ciągnął Stefan.

— Gdzie tam, tylko wy tu buszujecie, więc powinniście wiedzieć najlepiej. Zresztą stoi tu chyba od dawna — obruszył się portier.

Wyjechaliśmy ostrożnie i naszym oczom znów ukazał się wagon. Kusił niemiłosiernie. W końcu Stefan nie wytrzymał:

— Stawaj, Juruś!

Zahamowałem skład i puściłem silnik na wolnych. Uzbroiwszy się w latarki, ruszyliśmy na łowy. Buda na platformie z bliska wydała się masywniejsza i o wiele cięższa. Nie miała żadnych oznaczeń. Panewki jednej z osi były zapieczzone na amen, a sama ona sama nadpalona. Dосkoczyłem do drzwi. Były zablokowane jakąś plombą, lecz ta rozleciała mi się w palcach. Pociągnąłem za klamkę. Drzwi ani drgnęły. Były zbudowane z niezwykle ciężkiego metalu, tak jak cała buda. Stąd pewnie aż sześć osi u dołu.

— Stefan, a może to chłodnia?

— A widzisz gdzieś agregaty i wywietrzniki?

Nie było. Stefan pomógł mi przy drzwiach. Odśunęliśmy je do połowy. W środku wagonu stał jeden stelaż, przymocowany do podłogi śrubami. Na nim położono podłużne skrzynki wielkości człowieka, wykonane z metalu. Było ich sześć. Pokrywy skrzyń były doń przyśrubowane i leżały na gumowej uszczelce.

— Co za gówno? — zanim zdążyłem coś powiedzieć, Stefan wskoczył do środka.

Wszedłem za nim. W środku pachniało zepsutym mięsem. Stefan zaczął majstrować przy śrubach skrzyń.

Nie dał rady nawet ich ruszyć. Mnie przestało się tu podobać. Wagon przypominał wielką, sterylną trumnę.

— Stefan, wracamy!— krzyknąłem trochę za głośno, bo zwrotniczy aż podskoczył.

— Dobra, Juruś, pęka się? Wrócimy tu jutro ze sprzętem i będziemy bogaci.

Zasunęliśmy drzwi i wróciliśmy do Niuni. Z lodówkami dotarliśmy do SOK-istów. Złączyliśmy skład i podążyliśmy do stacji macierzystej. Tam dotarliśmy skoro świt, a wagony przejęła inna drużyna. Wraz ze Stefanem udaliśmy się na zasłużony odpoczynek, śnić o skarbie w wielkim wagonie.

Gdy obudziłem się sześć godzin później, paliło mnie całe ciało. Wielokrotnie wymiotowałem. Poszedłem do mojego rodzinnego doktora po poradę. Stwierdził zatrucie i przepisał prochy. Nie mogłem iść do pracy. Telefon Stefana milczał jak zaklęty. Chciało mi się spać. Wypadały mi włosy, nie wiedziałem, która była godzina. Nadal wymiotowałem. Skóra odpadała mi całymi płatami. Krwawiłem z powstałych ran. Nie miałem siły wstać. Znowu się obudziłem. Ledwie potrafiłem utrzymać długopis. Wszystko mnie bolało. Mamo i tato, Kocham was.

Boże, jak to boli.

Światło.

Zimno mi.

Jak bardzo mi zimno.

.....

Tak kończy się pamiętnik Jurka. Zamykam brulion, w którym znalazło się całe życie kawalera i jego ostatnia służba. Na niej to podjął decyzję o wejściu do tego cholernego wagonu.

Tydzień po śmierci Jurka i następnego dnia po odnalezieniu jego pamiętnika, dowiedziałem się, że wielki wagon zniknął.

— A portier z DOLMEL-u? Co na ten temat wie? — zapytałem.

— Mówi, że poszedł spać i nic nie pamięta, ledwie trzymał się na nogach, tak pochlał. Nie zauważyłby całego stada słońi.

— Przecież wagon z zapieczonymi panewkami nie znika ot tak sobie!

— Ten zniknął...

Pomyślałem, że może jego pomocnik Stefan, mimo tajemniczej choroby, na którą zapadł, będzie wiedział coś więcej. Chciałem spytać Kaloty, do którego szpitala go zawieźli. Nie zdążyłem.

Zadzwoił telefon. Naczelnik dźwignął słuchawkę. Jego twarz bieleła w miarę słuchania wieści z drugiej strony.

— Tak, tak... Boże.

Tyle zdołał wydukać. Potem obrócił się do mnie i zaciskając pięści, wyrzucił z siebie:

— Stefan nie żyje, a jego żona zmarła godzinę po nim.

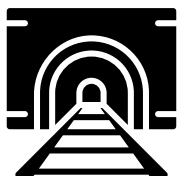
Podłoga zadrżała mi pod stopami. Ledwie trafiłem na krzesło.

Na pogrzebie tylko ja robiłem zdjęcia. Kilka razy pstryknąłem fleszem i więcej nie dałem rady. Policja nie zezwoliła na otwarcie trumien. Mimo nalegań rodziny. Wieczorem wyjąłem film i położyłem go na pamiątniku Stefana. Nie mogę spać. W snach goni mnie wielki biały wagon. W środku stalowe pojemniki skrzypią złowieszczo. Krzyczę. I tak co noc.

Podjąłem decyzję. Znajdę ten cholerny wagon. Na kolei nic nie ginie. Nic nie znika ot tak sobie. Nie na mojej kolei i stacji naczelnika Kaloty. Dziś odebrałem zdjęcia. Fotograf dał mi dwadzieścia cztery czarne prostokąty.

— Naświetlił je pan czymś mocnym — stwierdził. Wyszedłem zdumiony. Nic już nie rozumiałem.

Wrocław 21.11.2002 r.



Jełop

Wstarym gaziku podróżowało pięć osób. Wszyscy mieli na sobie wojskowe mundury i byli uzbrojeni. Tu nikt takim się nie dziwił, wielka wojna ledwie się skończyła, a Werwolf jeszcze grasował po okolicznych lasach. Dwóch z przodu wozu stanowiło obsadę miejscowego posterunku MO, a pozostali to żołnierze LWP, przydzieleni w charakterze obstawy. Milicjanci czujnie omiatali wzrokiem ścianę lasu, który przylegał bezpośrednio do drogi z Boszkowa. Tydzień temu zginęli tu dwaj ich koledzy. Ktoś rozwalił tych ludzi w rowie strzałem w tył głowy. Nieuwaga drogo kosztowała przedstawicieli ludowej władzy. Postanowili więc nie popełnić tego błędu. Do miasteczka pozostało jeszcze sporo, dwa kilometry. Wąska droga wiła się wśród leśnych ostępów. Gazik, krztusząc się straszliwie, brnął do przodu. Nagle coś zaszeleściło w leszczynie. Żołnierze zareagowali odruchowo. Długa seria z pepeszy ścięła wyżej położone liście.

— Stój, kto idzie?

Gazik zatrzymał się po przeciwległej stronie drogi. Mężczyźni zalegli w rowie. Z lasu nikt się nie odezwał. Znowu padły strzały, tym razem niżej.

— Wyłaż na drogę, bo ubijemy!

Krzaki ponownie zaszeleściły i na brukowej kostce stanęło umorusane dziecko. Przerażone, wpatrywało się w leżących milicjantów. Podniosło ręce do góry. Mężczyźni opuścili broń. Podeszli do znajdy i otoczyli go półkolem.

— Ktoś ty?

— Rozumiesz po polsku?

Chłopiec nic nie odpowiadał. Patrzył tylko przerażonymi, wielkimi niebieskimi oczyma na karabiny.

— To jakiś szkopski jełop — stwierdził jeden z żołnierzy.

— Zabierzmy go do komendanta, niech on decyduje, co z nim zrobić — zdecydował funkcjonariusz MO. Zapędzili chłopca na tył gazika i odjechali do miasteczka.

Na posterunku dano mu wodę i kromkę chleba. Próbowano pytać, kim jest i skąd pochodzi, ale przybysz milczał jak zaczarowany. Komendant chodził nerwowo i przyglądał się znajdzie.

— Silny jest, można by go starej Woroszczakowej na odchowanie dać, pomógłby trochę w tym obejściu... — rozumował komendant na głos, paląc papierowego skręta z machorką w środku.

Miasteczko Stegna było nim bowiem tylko z nazwy. Większość jego mieszkańców nadal utrzymywała się z roli. Żyzne pola otaczały zabudowania i dostarczały chleba. Po wojnie niewielu mężczyzn wróciło i każda para rąk była na wagę złota.

Komendant posłał po Woroszczakową. Ta dowle-
kła się po półgodzinie.

— Macie pomocnika obywatelko, dacie mu jeść
i spanie w komórce, a on w gospodarce pomoże, dopóki
wazs stary nie wróci — oznajmił komendant.

Stara łypnęła okiem na umorusaną znajdę. Zmarsz-
czyła brwi.

— Szkop? — splunęła na podłogę.

— Jeszcze do tego jakiś jełop, nic nie gada — wy-
rwał się jeden z młodszych milicjantów.

— Być może i szkop, i jełop, ale ciebie, Wolski, nikt
o zdanie nie pytał! — ryknął na funkcjonariusza ko-
mendant.

— Tak jest, obywatelu komendancie! — domeldo-
wał skruszony i czerwony jak burak młody. — A wy mi,
Woroszczakowa, na podłogę nie plujcie, bo posprzątać
każę, szkop czy nie szkop, ale silny jest i w gospodarce
porobi, aby ziemia odłogiem nie leżała. Jasne?

— Taa — stara opuściła głowę. — A jak mnie ubije
i do lasu ucieknie?

Komendant podszedł do chłopaka. Zwlekł go ze
stołka i postawił przed Woroszczakową. Wyjął broń
służbową, olbrzymiego makarowa z długą lufą, i poka-
zał go znajdzie.

— Masz pomagać i ręki na starą nie podnosić, bo
rozwalę... — Potrząsał bronią przed oczyma chłopaka.
On tylko patrzył swoimi wielkimi, niebieskimi oczyma
i bał się okrutnie.

Woroszczakowa powoli powoziła rozklekotaną furman-
ką. Znajda chłonał wszystko wzrokiem. Wóz przetoczył
się przez przejazd na pustej stacji kolejowej. Zniszczone

przez bomby tory i budynki ziały pustką. Pociągi docierały dopiero do oddalonego o siedem kilometrów Boszkowa. Potem furmanka skręciła na pełną drogę wzdłuż nasypu. Dygocząc się na olbrzymich dziurach, dotarła do wiejskiej zagrody. Tam stara ściągnęła lejce i koń stanął. Znajda ożywił się i wyciągnął przed siebie rękę.

— Dom? — zapytał nagle.

Woroszczakowa oniemiała i przez chwilę nie mogła wydusić słowa. Potem otworzyła bramę i wprowadziła konia z wozem do obejścia. Wskazała znajdzie drewniany ganek i uchylone drzwi.

— Twój nowy dom, Jełopie, chodź zjemy coś — popędziła go ręką. — Dobrze, żeś ty nie nazista — dodała z ulgą.

Mijały dni i noce. Jełop rósł na potęgę i ochoczo pomagał Woroszczakowej w gospodarce. Bardzo silny był to chłop. Silniejszy niż reszta gawiedzi w miasteczku. Podczas żniw bez wysiłku dwa worki zboża dźwigał na jednym ramieniu. Miejscowi nie próbowali mu dorównać. Mongoidalna twarz znajdy nie zdradzała uczuć. Nie obrażał się, gdy wszyscy wołali na niego Jełop. Nie rozumiał tego słowa. Niewiele też mówił. Robił to, co stara mu kazała i tak mijało jego życie. Cieszył się, że miał co zjeść i gdzie spać.

Któregoś dnia listonosz zawitał pod furtkę. Przywołał go ruchem ręki.

— Pismo dla starej, Jełopie — wręczył niebieską kopertę. — Urzędowe, nie zgub! — Pogroził palcem.

Jełop odebrał list i zamarł. Do jego uszu dotarł bowiem nowy dźwięk. Jakiś czarny stwór pełzł powoli po nasypie, dymiąc straszliwie.

— Co to? — spytał listonosza.

Listonosz, zdziwiony, gdyż nie często Jełop się odzywał, spojrział we wskazanym kierunku. Uśmiechnął się na widok, jaki ujrzał.

— Pociąg, Jełopie! — wsiadł szybko na rower. — Pociąg, nareszcie! — Odjechał, energicznie pedałując. Chłopak patrzył na potwora, jak wolno wtacza się na pobliską stację. Nie mógł oderwać od niego oczu.

— Pociąg! — powtarzał zafascynowany.

Dopiero krzyk starej oderwał go od płotu. Szybko pobiegł i zaniósł jej pismo. Ta zamarła, przeczytawszy pierwsze linijki tekstu. W oczach jej pojawiły się łzy. Znajda nie mógł zrozumieć, co zrobił źle. Dlaczego gospodyni jest taka smutna? Ta odwróciła się do niego i, łkając, wyjaśniła:

— Zostaliśmy sami, Jełopie, stary już nie wróci.

— Dlaczego?

Stara Woroszczakowa po raz pierwszy go wtedy przytuliła.

Jełop był już młodym mężczyzną. Nadal przybywało mu siły. Kiedy grzązł koń podczas wiosennej orki, sam wyciągał pług z błotnistych muld. Stara gasła szybko po śmierci męża. Coraz więcej czasu spędzała w łóżku. Znajda opiekował się nią rzetelnie. Coraz częściej też przystawał, gdy na nasypie pojawiał się czarny potwór. Jego oczy śledziły każdy ruch kół. Czasami spotykali go ludzie, jak z otwartą gębą śledził wjeżdżający na stację osobowy. Nigdy jednak nie miał odwagi zobaczyć, jak tam jest. Bał się płataniny stalowych nici i wielkich maszyn. Powoli jednak fascynacja brała górę nad strachem. Gdy nastało lato,

ludzie widzieli Jełopa coraz bliżej stacji. Aż któregoś ciepłego dnia dotarł na rampę przeładunkową. To, co zobaczył, naznaczyło jego duszę. Nie mógł oderwać wzroku od manewrujących parowozów. Powoli poznawał zawilóści stacyjnej pracy. Cieszył się z każdego nowego składu. Kolejarze przyzwyczaili się do milczącego widza. Pozdrawiali go długimi gwizdami i machaniem rękoma. On tylko milczał i patrzył wielkimi niebieskimi oczyma.

Stara odeszła pod koniec lata. Gmina pochowała ją na miejscowym cmentarzu, a Jełopowi pozwolono mieszkać w chacie po niej. On jednak coraz mniej czasu w niej spędzał. Rampa to był jego nowy dom. Dobrze mu tam było. Gdy tak sobie siedział, któregoś dnia jeden z parowozów, zostawiwszy wagony, zajechał na tor obok rampy. Jeszcze tak blisko Jełopa nie stała żadna z lokomotyw. Czuł ciepło jej kotła na twarzy. Maszynista, zatrzymawszy pojazd, wyjął czarną szmatę i zaczął polerować mechanizmy. Znajda przyglądał się temu z rosnącym zainteresowaniem. W końcu przemógł obawy i zeskoczył z rampy na teren stacji. Przeszedł ostrożnie pomiędzy stalowymi nićmi rampowego toru i podszedł do lokomotywy. Maszynista przyglądał się temu z rozbawieniem.

— Piękna, nie? — zapytał nie przerywając polerowania.

— Mogę pomóc? — wskazał na lokomotywę Jełop.

— Jasne — maszynista zeskoczył z kabiny na podtorze. — Zaczynj od kół — wręczył mu szmatę. — A jak cię wołają, chłopcze?

Znajda odpowiedział po chwili zawahania:

— Jełop, psze pana — wydukał nieco skonsternowany, że ktoś go o coś pyta. Maszynista poklepał go delikatnie po ramieniu.

— Silny jesteś — stwierdził. — Od dziś będę wołał na ciebie Siłacz, dobrze?

Jełop nie bardzo wiedział, dlaczego ktoś chce mu zmienić imię. Ale bardzo chciał dotknąć lokomotywy, więc zgodził się. Zanim jeszcze zaczął polerować obręcze kół, zadał pytanie:

— A ona jak ma na imię?

Maszynista widząc, że chłopak nie żartuje, odpowiedział:

— TKt48.

Jełop, zwany teraz Siłaczem, zastanawiał się nad tym długo.

— Trudne — wyznał, rozpoczynając polerowanie.

Siłacz coraz częściej czyścił swoją nową miłość. Lubił to robić i słuchać, jak jego nowy znajomy opowiada o pociągach, dalekich szlakach i podróżach. Gdy skład odjeżdżał, Siłacz czekał wytrwale na rampie. Już z daleka rozpoznawał znajomy stukot TKt48. Zrywał się wtedy na równe nogi i energicznie machał rękoma. Michał, bo tak nazywał się maszynista Siłacza, dawał wtedy długie Rp1*, aż uszy puchły wszystkim miejscowym i pasażerom składu. Mijały dni, a z młodzika Siłacza wyrósł prawdziwy mężczyzna. Tajemniczy, milczący i niebywale silny. Wkrótce pozwolono mu wykonywać drobne prace na stacji. Smarować zwrotnice, donosić

* Rp1 – sygnał „baczność” dawany przy różnych okazjach gwizdawką lokomotywy; jeden długi ton.

narzędzia i konserwować semafore. Robił to z wielkim zapalem i starannością. Dawno zapomniał o gospodarce. Zresztą jego pola przejął PGR. Stacja płaciła drobne kwoty, które pozwalały mu się utrzymać. Więcej nie chciał od życia.

Raz Michał, przy kolejnym czyszczeniu, zapytał:

— Masz ojca, Siłacz?

— A co to ojciec? — odparł Siłacz.

Zima przeszła głębokim śniegiem. Siłacz zaharowywał się odśnieżając zwrotnice, by stacja mogła normalnie funkcjonować. Naczelnik dał mu nawet za to solidną premię. Należało mu się i to bardzo. Potem nadeszła wiosna i trzeba było przesmarować naciągacze oraz zwrotnice. Znowu zrobił to bezbłędnie i solidnie – dostał kolejną pochwałę i premię. Chciano wysłać go na urlop, lecz on rozplakał się w kancelarii naczelnika, więc zrezygnowano z tego pomysłu. Ot, tak to z Siłaczem czasami bywało.

Lato przywitało wszystkich złocistym słońcem i zmianami na gorsze, przynajmniej według Siłacza. Smarował właśnie środkową zwrotnicę, gdy do jego uszu dotarło głębokie buczenie. Dźwięk był nowy i nie przypominał żadnego z parowozów. Coś zielonego wytoczyło się od strony Boszkowa. Straszliwie hucząc, zamarło obok Siłacza. Było ogromne i bardzo przerażało zwrotniczego. Znajda cofnął się i uciekł, zostawiając rozbebeszoną zwrotnicę. Naczelnik znalazł go w szopie z narzędziami, skulonego z rękoma na głowie.

— Siłacz, co jest? — zapytał zdziwiony.

— Tam — wskazał ręką na zielonego potwora.

— To nowa lokomotywa St44.

Siłacz drżał na całym ciele. Powoli wrócił na swoje stanowisko pracy.

— Nie lubię cię — szepnął, wskazując na lokomotywę.

Nie znosił nowych gości stacji i ich obsługi. Niejednokrotnie w nocy budził się spocony, krzycząc. We śnie zielone potwory miażdżyły stację i jego dom. Sny nawiedzały go z tak dużą częstotliwością, że nawet Michał zaczął się niepokoić. Lecz nic na to nie mógł poradzić. Siłacz bał się i już. Maszynista odpuścił sobie po kilku tygodniach. St44 coraz częściej przemykały przez stację. Nadchodziły nowe czasy, złe czasy dla parowozów.

Siłacz ubijał właśnie tłuczeń na świeżo wyremontowanym odcinku toru. Ubijarka padła wskutek upału. Powoli jego potężne ramiona robiły porządek z niesfornymi kamieniami. Wpychały je między podkłady za pomocą metalowego kloca z dospawaną rurą.

— Siłacz uważaj, zaraz będzie Michał od strony Boszkowa leciał — krzyknął naczelnik z nastawni. Siłacz wiedział. Znał rozkład malutkiego TKt48 na pamięć.

Za jego plecami na stację od drugiej strony wjeżdżał St44. Powoli skrzypiąc wieloma wagonami odbijał na boczny tor. Na jego końcu stalowy strażnik szlaku nakazywał stop wyciągniętym ramieniem. Znajda nawet nie patrzył w jego kierunku. Czekał na Michała. St44 minął go i parł dalej do przodu. Do uszu pracującego mężczyzny doszedł jęk rozpruwanej zwrotnicy wyjazdowej. Potwór przyspieszył. Siłacz patrzył na tę

scenę z rosnącym przerażeniem. St44 w jaskrawym słońcu zignorował strażnika i rozpruwszy zwrotnicę – wyjeżdżał ze stacji.

— Stóóóóóóóóóój!!! — wył znajda, rzucając tłuczeniem w mijające go wagony. Nic nie mógł zrobić. Gdy tylko skład zniknął w lesie, pobiegł do dyżurki naczelnika. Błady dowódca stacji trzymał słuchawkę od telefonu i kręcił do Boszkowa.

— Mamy skład na linii, minął sygnał stop! — wrzeszczał do słuchawki.— Co z osobowym?

Twarz mu pobladła

— Jest na szlaku... Boże....

Siłacz wybiegł na torowisko. Do jego uszu dobiegł huk, a potem darcie metalu. Nad lasem pojawiła się krwawa łuna.

W tych czasach nie było radiotelefonów. Siłacz biegł jak oszalały na miejsce katastrofy. Był jednym z pierwszych, którzy tam dotarli. Najpierw zobaczył ogromną górę spiętrzonych wagonów. Potężny St44 zmiażdżył małego TKt48 i pierwszy wagon osobowy, potem przewrócił się na bok. Ustąpił miejsca węglarkom, które ułożyły się w niesamowity szczyt. Obok Siłacza przechodzili ludzie. Byli to pasażerowie pociągu osobowego – pokrwawione zjawy przemieszczające się po okręgach, kwilące cichutko: „pomocy”. Niektórzy byli pozbawieni rąk, odciętych przez ostre blachy, lecz zupełnie ignorowali ten fakt, umierając z wykrwawienia. Makabryczny teatr mimów w środku lasu, na tle apokaliptycznej scenerii. Siłacz nic nie mógł zrobić. Pierwsze karetki wyjeżdżały dopiero z Boszkowa. Odginał swoimi potężnymi ramionami blachy wagonów, uwalniając kolejnych poturbowanych, zszokowanych rannych. Pojawili się pierwsi lekarze. Siłacz zaczął szukać swego

najlepszego przyjaciela – maszynisty TKt48. Nie znalazł go pośród pogiętych blach parowozu. Musiał wyskoczyć wcześniej, tuż przed zderzeniem. Coraz więcej ludzi udzielających pomocy pojawiało się na miejscu katastrofy. Strażacy, mieszkańcy pobliskich miasteczek i wielu nieznanym dobroczyńców. Siłacz szukał teraz tylko Michała. Wiedział już, że nie zginął w parowozie. Odgiąwszy wszystkie blachy, nie znalazł w budce nikogo. Wreszcie go dostrzegł; leżał przygnieciony potężnym cielskiem St44. Jeszcze oddychał. Siłacz szarpał za ramię pierwszego strażaka, jaki mu się pod potężną rękę nawinął.

— Tam!— nerwowo pokazywał na Michała.

Strażak wzruszył tylko ramionami:

— Przykro mi, jest przygnieciony na amen, specjalny dźwig będzie tu za godzinę, bardzo mi przykro, musimy ratować innych.

Siłacz powoli zbliżył się do krawędzi dachu przewróconego St44. Zakotwiczył potężne dłonie w ścianie bocznej.

— Co robisz, nie dasz rady? —warknął zdumiony strażak.

Siłacz napiął mięśnie. Zaparł się nogami i zaczął krzyczeć:

— Tatoooooooooo!!!

Lokomotywa zadrżała i stał się cud. Ręce Siłacza uniosły ją nieco. Mężczyzna cierpiał, z nosa buchnęła mu krew. Płakał brunatnymi łzami i nie przestawał krzyczeć. Wszyscy zamarli, przyglądając się nadludzkiemu wysiłkowi. Strażak dopadł i chwycił leżącego maszynistę pod ramiona.

— Wyżej, człowieku, jeszcze trochę! — szarpał ciałem maszynisty.

Na skórze siłacza zaczęły pojawiać się krwawe pęknięcia, mimo to St44 dalej szedł w górę, aż strażak wytaszczył Michała spod lokomotywy. Wtedy Siłacz puścił dach i St44 osiadł na dobre. Delikatnie odebrał maszynistę od strażaka i umieścił go w karetkce. Lekarz trzasnął drzwiami, a samochód z wyjącą syreną zniknął w leśnej przesiece. Wszyscy wrócili do ratowania pozostałych pasażerów.

Siłacz, słaniając się na nogach, pomagał jak mógł. Mimo iż krew dosłownie lała się z niego, nie chciał pozwolić się opatrzyć. Odginał blachy aż do przyjazdu dźwigu i specjalistycznych ekip ratowniczych. Potem siadł, pod wysoką zieloną sosną i umarł.

Milicjanci asystowali przy usuwaniu ciał. Było to brudne i straszliwie przygnębiające zajęcie. Gdy już uwinęli się ze wszystkim, jeden z nich zauważył leżącego pod drzewem Siłacza.

— A to kto? —zapytał.

— Taki miejscowy Jełop — opowiedział ktoś z tłumu.

Wrocław 26.08.2002 r.

